

Jacek Piekara

W oczach boga

Ława była wąska i niewygodna. Siedziałem na niej już kilka godzin, a przechodzący słudzy i dworzanie biskupa uśmiechali się drwiąco na mój widok. Oni mogli sobie na to pozwolić. Opieka Gersarda, biskupa Hez-hezronu, była najlepszą gwarancją bezkarności i bezpieczeństwa. Aleja, Mordimer Madderdin, inkwizytor Jego Ekscelencji, nie przywykłem do takiego traktowania. Dlatego siedziałem ponury jak gradowa chmura. Chciało mi się jeść i pić. Chciało mi się spać. Z pewnością nie chciałem czekać tu na audiencję, nie chciałem też widzieć biskupa, bo nic miłego nie mogło mnie u niego czekać. Gersard miał ponoć wczoraj atak podagry, a kiedy chwytały go bóle, był zdolny do wszystkiego. Na przykład do tego, aby odebrać mi koncesję, która i tak wisiała na włosku od czasu, gdy przesłuchałem nie tego człowieka co trzeba. W końcu to nie moja wina, że na świecie istnieją sobowtóry. A przynajmniej ludzie bardzo podobni do siebie. Tyle że kuzyn hrabiego Werfena, niestety, nie przeżył przesłuchania. I ja teraz mogłem mieć kłopoty. Jeżeli odbiorą mi koncesję, świat nagle stanie się bardzo niebezpiecznym miejscem. Tak to już jest, że inkwizytorzy mają zwykle więcej wrogów niż przyjaciół. Oczywiście, odszedłby ode mnie również Anioł Stróż, a życie bez Anioła trudno sobie wyobrazić. Choć, między nami mówiąc, trudno też sobie wyobrazić życie pod opieką Anioła. Aleja sobie nie tylko je wyobrażałem, lecz zdołałem przez te wszystkie lata się do niego przyzwyczaić.

W końcu podszedł jakiś wymuskany klecha, roztaczający wokół woń drogich perfum, i spojrzał na mnie z góry.

– Madderdin? – zapytał. – Inkwizytor?

– Tak – odparłem.

Jego Ekscelencja czeka. Rusz się, człowieku! Przełknąłem obelgę i tylko starałem się zapamiętać tę beczelną twarz. Da Bóg, spotkamy się w bardziej sprzyjających okolicznościach. Nawet słudzy biskupa mogą z czasem trafić do naszych mrocznych cel. A wierzcie mi, że tam tracą już wszelką pogardę dla siedzącego naprzeciw nich inkwizytora. Wstałem i wszedłem do komnaty biskupa. Gersard siedział pochylony nad dokumentami. Prawą dłoń miał całą w bandażach, co znaczyło, że atak podagry nie był, niestety, plotką.

– Madderdin – rzekł takim tonem, jakby to było przekleństwo – dlaczego ty właściwie jeszcze żyjesz, łajdaku?

Uniósł wzrok. Widać było po oczach, że musiał sobie trochę wypić. Twarz miał obsypaną alergicznymi plamami. Było więc gorzej, niż przypuszczałem.

– Wierny sługa Waszej Ekscelencji – rzekłem, pochylając się głęboko.

– Mordimer, na Boga, odbiorę ci koncesję! Co to za bzdury w ostatnich raportach? Co to jest Kościół Czarnego Przemienienia?

– Nie pisałem o niczym takim, Wasza...

– Właśnie! – wrzasnął i głos załamał mu się w czasie tego wrzaśnięcia, a plamy na policzkach jeszcze bardziej poczerwieśniały. – Po co ja cię trzymam, głupcze, skoro dowiaduję się o nowych herezjach od kogoś innego?

W życiu nie słyszałem o Kościele Czarnego Przemienienia, więc postanowiłem rozsądnie milczeć.

– Nowa sekta – powiedział, patrząc na mnie spode łba – założona i prowadzona przez człowieka nazywającego siebie apostołem Szatana. Podobno to jakiś ksiądz, zajmujący się czarną magią. Mówią, że ta sekta dorobiła się już całkiem sporej liczby wyznawców. Masz go znaleźć, Madderdin i doprowadzić do mnie. I, na Boga, pospiesz się, bo skończę z tobą.

– Czy Wasza Ekscelencja wie, gdzie mam go szukać? – zapytałem najbardziej unizonym tonem, na jaki było mnie stać.

– Gdybym wiedział, gdzie go szukać, nie kazałbym tego robić tobie, idioto – odparł biskup i pomasaował sobie łokieć. – Madderdin, czym ja zgrzeszyłem przeciw Bogu, że pokarał mnie takimi ludźmi, jak ty?

Znowu uznałem, że lepiej nie odpowiadać, i tylko głęboko się skłoniłem.

– Idź już. – Ekscelencja machnął ze znużeniem lewą dłońią. – Wynoś się i nie wracaj mi bez tego człowieka. Aha, i jeszcze jedno. Słyszałem, że odprawiają rytuały z poświęcaniem dziewic czy noworodków, czy coś tam takiego... – urwał, aby znowu pomasaować sobie łokieć.

– Kiedy mogę zgłosić się do skarbnika Waszej Ekscelencji? – zapytałem, cały czas głęboko pochylony. Cichym i łagodnym głosem.

– Won! – ryknął biskup, a ja uznałem, że cóż: nie zawadziło spróbować.

Wycofałem się rakiem, a kiedy zamknięto za mną drzwi, odetchnąłem z ulgą. Trzeba było się brać do roboty, ale przynajmniej moja koncesja była na razie bezpieczna. Tylko źle ze mną będzie, jeżeli nie znajdę heretyka. Ale tym przyjdzie jeszcze czas się martwić. Wyszedłem z pałacu biskupa i odetchnąłem świeżym powietrzem. A raczej powietrzem rynsztoków i spelunek. Bo tak pachnie Hez-hezron. Czy mówiłem wam już, że to naj ohydniej sze z ohydnych miast? Podobno wiek temu król Merwid Złotousty kazał Hez-hezron spalić, aby wybudować na jego miejscu wymarzone przez siebie Miasto Słońca. Ale nim Merwid spalił miasto, spalono jego i pomysł umarł śmiercią naturalną.

Teraz musiałem odszukać bliźniaków oraz Kostucha. Sprawa w sumie była prosta – musieli bawić się gdzieś kartami lub kośćmi, a ja przecież znałem ich ulubione miejsca. Pierwszym była karczma

„Pod Bykiem i Ogierem”, jednak tam właściciel rozłożył tylko ręce.

– Ograł ich szuler spoza miasta – powiedział – i słyszałem, że poszli na zarobek.

Westchnąłem. Jak zwykle dali się wykiwać byle komu. I tak dobrze, że go nie zabili, bo teraz musiałbym ich może szukać w lochu burgrabiego. Ale słowo „zarobek” mogło znaczyć wiele rzeczy. I niekoniecznie przyjemnych.

– Co za zarobek? – spytałem niechętnie.

– Mordimer, ty wiesz, że ja nie lubię za dużo wiedzieć – odparł karczmarz, któremu pozwalałem mówić sobie po imieniu, bo walczyliśmy kiedyś razem pod Kir-karalath. A weterani spod Kir-karalath są sobie równi, choćby nie wiem jaka dzieliła ich społeczna przepaść. Takie było niepisane prawo. Zresztą, niewielu nas wtedy zostało. Bardzo niewielu, powiedziałbym nawet.

– Korfis – rzekłem spokojnie – nie utrudniaj. Dostałem zlecenie i jak ich nie znajdę, to go nie wykonam. A wtedy zostanę obdarty ze skóry. Jestem ci winien pięć dukatów. Chyba chciałbyś je kiedyś dostać z powrotem?

– Siedem – spojrzał na mnie chytrze.

– Niech będzie – zgodziłem się, bo równie dobrze mogło być siedemdziesiąt. I tak w kabzie brzęczały mi tylko dwa samotne półgroszaki. I za Boga nie zamierzały się rozmnożyć.

– A może ubijemy interes? – spytał i popatrzył na mnie badawczo.

– No?

– Ten szuler tu jest. Dam ci forszę; ograł go, a dostaniesz piątą część wygranej.

– Czterdzieści procent – odparłem machinalnie, ale przecież i tak nie zamierzałem się zgodzić.

– Co? – nie zrozumiał.

– Połowę.

Pokiwał głową i myślał przez chwilę.

– Dam ci połowę – stwierdził i wyciągnął łapę: – Przybite, Mordimer?

– Ty wiesz, że ja nie gram – powiedziałem, zły, że dałem się wciągnąć w tę rozmowę.

– Ale umiesz. A większość gra i nie umie – odparł sentencjonalnie. – No?

– Ile on może mieć?

Karczmarz nachylił się nade mną. Jechało od niego piwem i gotowaną kapustą. Jak na Hez-hezron

nawet nieźle. Znam gorsze zapachy.

– Może trzysta, może czterysta – tchnął mi w ucho. – Jest się o co bić.

– Zwyczajny oszust czy magik?

– A kto go tam wie? Wygrywa od tygodnia. Dwa razy próbowali go zabić...

– I?

Korfis w milczeniu przeciągnął palcem po gardle. – Dobry jest – dodał. – Ech, Mordimer, żebyś ty chciał grać. Jaki my byśmy majątek zrobili, człowieku.

– Gdzie są Kostuch i bliźniacy?

– Mają jakąś robótkę u Hilgerarfa, wiesz, tego ze spichlerzy. Jakies ściąganie długów, czy co – wyjaśnił po chwili namysłu. – Zagrasz, Mordimer? – spytał prawie błagalnym głosem.

Trzysta dukatów, pomyślałem, zostanie mi z tego sto pięćdziesiąt. Niby miało się czasem i dziesięć razy więcej, ale teraz to był majątek. Starczyłoby na szukanie heretyka. Zakląłem w myślach, bo nie dość, że mam pracować za darmo, to jeszcze muszę zarobić na tę pracę. Co za łajdak z biskupa.

– Może – westchnąłem, a Korfis aż chciał mnie klepnąć w plecy, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Wiedział, że nie przepadam za tego rodzaju czułościami.

– Dam ci sto dukatów. – Nachylił mi się znowu nad uchem. – Starczy, żeby zacząć, co?

No cóż, knajpiany biznes kwitnie w Hez-hezronie, skoro karczmarz ma na zbyciu sto dukatów. A jak dawał sto, to miał pewnie i pięć razy więcej.

– A jak przegram? – zapytałem.

– To będziesz miał dług – zaśmiał się – ale ty nie przegrasz, Mordimer.

Zapewne, pomyślałem, tylko ty nie wiesz, że mnie nie wolno grać. I że jak dowie się o tym mój Anioł Stróż, to będę miał przesrane na długie miesiące. A co gorsza, może mnie załatwić w czasie gry. Chyba że uzna, iż gram w szlachetnym celu. A niezbadane są ścieżki myślenia Aniołów.

– Teraz to on śpi – rzekł Korfis. – Grał całą noc u Lonny i wrócił dopiero nad ranem.

– Nieźle – powiedziałem, bo u Lonny grało się wysoko. – Przejdę się tam. Daj parę dukatów.

Korfis westchnął i wygrzebał z zanadru jednego oberżniętego po brzegach dukata i trzy pięciogroszaki.

– Doliczę ci do rachunku – mruknął.

Nawet nie wyciągnąłem ręki, tylko spojrzałem na niego wymownie.

– Korfis, we mnie trzeba zainwestować – mruknąłem.

– Zainwestować – powtórzył, wyraźnie wymawiając zgłoski. – Ilekroć słyszę to słowo, wiem, że ktoś chce mnie obłupić ze skóry – dodał, ale wyjął jeszcze jednego dukata. Jeszcze bardziej oberżniętego po brzegach niż pierwszy, chociaż to akurat mogło się już wydać niemożliwe.

Dom madame Lonny był masywnym, jednopiętrowym budynkiem ogrodzonym murem, za którym szalały specjalnie wyszkolone psy. Mówiono zresztą, iż to nie psy, tylko mieszanka szakala i wilka, i że miały zatrute zęby. Ale podejrzewam, iż takie bajdy rozpuszczała sama Lonna, aby dodatkowo wystraszyć nieproszonych gości. Lonna prowadziła dobrej klasy burdel z wykwintnym wyszynkiem i jedzeniem. Prócz tego grano u niej w kości i karty. Grano wysoko i w niezłym towarzystwie, bo nierzadko można tam było trafić na bogatych szlachciców z okolic Hez-hezronu (po co przyjeżdżali do miasta, opuszczając swe posiadłości, Bóg jeden raczy wiedzieć), co znamienitszych mieszczan i mistrzów cechowych. A zresztą, każdy, kto miał wypchaną kabzę i jako tako wyglądał, był tam mile widziany.

Zastukałem kołatką. Kilkakrotnie, bo pora była nietypowa i musiałem chwilę poczekać, nim ktoś się zbliżył do drzwi. Trzasnął uchylany judasz.

– Pan Madderdin – usłyszałem głos zza drzwi i poznałem Gryttę, który pełnił u Lonny rolę odźwiernego, wykidajły i w ogóle chłopca do wszelkich zleceń. Grytta był zwalistym chłopem o twarzy wioskowego głupka. Ci, których zmyliła ta powierzchowność, zwykle nie mieli już okazji popełniać następnych pomyłek.

– Nie da się ukryć – odparłem. – Jest Lonna? Grytta wahał się chwilę, nim odpowiedział.

– Jest – rzekł w końcu, otwierając drzwi. Krzyknął na psy. – Dziwna pora na odwiedziny, panie Madderdin.

– Dziwna – przytaknąłem i dałem mu dukata. Trzeba mieć gest.

Grytta zaprowadził mnie do saloniku i postawił na stoliku butelkę wytrawnego wina oraz kieliszek.

– Wszyscy śpią jeszcze, panie Madderdin – wyjaśnił. – Trzeba będzie trochę poczekać.

– Nie ma sprawy – powiedziałem i wyciągnąłem się w fotelu.

Jestem przyzwyczajony do spania o każdej porze i w każdych warunkach. W końcu nigdy nie wiadomo, kiedy człowiek będzie miał następną okazję. Lonna weszła do pokoju, a ja się natychmiast obudziłem.

– Zawsze czujny – powiedziała, widząc, że otwieram oczy. – Dawno się nie widzieliśmy, Mordimer. Przychodzisz oddać dług?

– A ile ci jestem winien?

– Dwadzieścia dukatów – powiedziała i jej oczy pociemniały. – Czy to ma znaczyć, że ich nie przyniosłeś?

– Ty zawsze o pieniądzach – westchnąłem. – Nawet nie zdążyłem ci powiedzieć, jak pięknie wyglądasz.

– Daruj sobie – wzruszyła ramionami. – Czego chcesz?

– Jak zwykle. Informacji.

– Zwykle to ty chcesz tu czegoś innego – odparła. – Jakiej informacji?

– Ktoś grał wczoraj u ciebie. Jakiś zamiejskowy szuler. Wygrał?

– Czy ja śledzę każdego, kto tu gra? – zapytała zniecierpliwiona. – Wczoraj było mnóstwo ludzi.

– Lonna – wstałem i przeciągnąłem się, aż mi chrupnęło w kościach, nalałem sobie wina – masz mnie za idiotę?

– Wygrał – powiedziała – bardzo dużo.

– Znaczy?

– Czteryście, może nawet pięćset. Ale on nie kantował, Mordimer. Kazałam go sprawdzić.

– Są różne rodzaje kantów – odparłem.

– No właśnie. Może wrócimy do mojej dawnej propozycji?

– Nie – zaśmiałem się.

Lonna kiedyś proponowała, abym zajął się kontrolą graczy. Potrafię bezbłędnie poznać, czy ktoś oszukuje. Rozszyfruję każdego magika czy iluzjonistę, nie mówiąc już o zwykłych szulerach. A Lonna nie tolerowała oszustów. Między innymi dlatego jej dom był tak popularny, bo grało się tam czysto. A przynajmniej w miarę czysto.

– W co grał?

– W „biskupa” – roześmiała się nieco pogardliwie.

Ja też się zdziwiłem. „Biskup” był jedną z najbardziej głupich i prymitywnych gier. Wygrywał ten, kto zebrał rycerza, giermka i tuza, obojętnie jakiej maści, a przy tym nie miał damy. Zabawa dla wozaków. Zupełnie bezmyślna.

-1 co potem?

– Poszedł. – Wzruszyła ramionami: – Nawet nie poprosił o obstawę.

U Lonny istniał dobry zwyczaj odprowadzania gości, którzy wygrali, przez specjalnie dobranych ochroniarzy.

– Przyjdzie dzisiaj?

– Jak go nie zabili, to pewnie przyjdzie. – Znowu wzruszyła ramionami. – Po co ci on?

– Ograł moich chłopaków, więc może ktoś powinien mu odpłacić.

Lonna nie wytrzymała i chwyciła mnie za rękę.

– Będiesz grał, Mordimer? – Widziałem, jak zapłonęły jej oczy. – Naprawdę zagrasz?

– Może, może... – odpowiedziałem, uwalniając dłoń.

– Czuj się gościem – rzekła z szerokim uśmiechem, który odmłodził ją o ładnych parę lat. – Dam ci pokój, żebyś wypoczął przed wieczorem. Chcesz coś jeszcze? Wino, dziewczyny?

– Na razie nie. Dzięki, Lonna, ale muszę poszukać Kostucha i bliźniaków. Szlag ich gdzieś trafił.

– Tylko błagam, nie przyprowadzaj ich, jeżeli nie musisz.

– Lonna złożyła dłonie na piersiach. A było na czym składać.

– Ostatnio Kostuch wypłoszył mi gości.

– Nie ma się czemu dziwić. Jakbym go nie znał, sam bym się przestraszył.

– Zobaczymy się wieczorem.

Wyszedłem nieco odświeżony tą chwilą snu i ruszyłem na poszukiwanie chłopaków. Mieli robótkę u Hilgferarfa? No, to wiadomo gdzie zacząć. Do spichlerzy od domu Lonny nie było specjalnie daleko, toteż spacer zajął mi najwyżej pół godziny. Już z daleka było widać niekształtne magazyny, przytulone do brzegu rzeki. Namnożyło się ich ostatnimi czasy, bo i handel, po zakończeniu wojny na południu, rozkwitł jak nigdy. Hilgferarf był jednym z nowych tuzów kupieckich. Młody, przebojowy i bez skrupułów.

Zaczynał jako doker, a teraz miał cztery pokaźne magazyny. Spichlerze to była już tylko zwyczajowa nazwa, bo teraz w magazynach trzymało się dziesiątki różnych towarów. Hilgferarf specjalizował się w broni, gdyż miał dobre kontakty z kupcami z Barden-hager, ale w zasadzie zajmował się każdym towarem. Jeden magazyn miał specjalnie przystosowany dla dziewczyn

z Południa, na które zawsze był niezły popyt. Sama Lonna kupiła tam kilka niezłych sztuk, ale szybko umarły. Podobno nie wytrzymały życia w zamknięciu i liczby klientów. Ale i tak pewnie Lonnie koszta zwróciły się z naddatkiem. Na terenie spichlerzy kręcili się ochroniarze z pałkami w rękach, było też kilku ludzi ze straży portowej, jak zwykle schlanych prawie do nieprzytomności. Biuro Hilgferarfa przytykało do jednego z magazynów nad samym brzegiem rzeki. Czy raczej tego spienionego ścieku, który z przyzwyczajenia nazywano rzeką.

– Czego tu? – Przy drzwiach czuwało dwóch strażników.

– Szukam pana Hilgferarfa – wyjaśniłem.

– Byłeś umówiony? Jak nie, to spływaj. Spojrzałem na niego i trochę się stropił.

– Nazywam się Madderdin, synu. Mordimer Madderdin, inkwizytor biskupa Hez-hezronu. Chciałbyś, abym był miły, kiedy spotkamy się kiedyś u mnie?

– Przepraszam, panie Madderdin – strażnik, który ze mną rozmawiał, przełknął głośno ślinę – proszę o wybaczenie. Zaraz powiadomię pana Hilgferarfa.

Wszedłem do środka, a Hilgferarf nie dał mi długo czekać. Bardzo uprzejmie z jego strony. Miał całkiem miłe biuro wypełnione meblami z czarnego dębu. Nieco nuworyszowskie, ale jednak eleganckie.

– Miło mi, panie Madderdin. – Miał silną dłoń, no ale skoro kiedyś był dokerem...

– Proszę wybaczyć, iż zabieram panu czas – powiedziałem uprzejmie – ale podobno wynajął pan moich chłopców. Dwóch bliźniaków i człowieka...

– A, tego przy stój niaczka – wszedł mi w słowo kupiec. – Zgadza się. Miałem dla nich robótkę. Proszę usiąść, panie Madderdin. Wina?

Pokręciłem głową.

– Wzięli zaliczkę i tyle ich było – powiedział spokojnie, ale wiedziałem, że jest wściekły.

– To do nich niepodobne – naprawdę się zaniepokoiłem. Bliźniacy i Kostuch nigdy nie pozwoliliby sobie na wystawienie klienta do wiatru. A przynajmniej nie w Hez-hezronie. – Czy mógłbym wiedzieć, co to była za praca?

– Panie Madderdin – kupiec usiadł za biurkiem – bądźmy szczerzy. Słyszałem, że poza swoimi obowiązkami służbowymi zajmuje się pan też czasem pomaganiem ludziom będącym w kłopotach. Jeśli byłby pan zainteresowany, to...

– Proszę mówić.

– Mam dłużnika. Chodzi o poważne sumy...

– Jak poważne? Uniósł rękę.

– Za chwilę, jeśli pan pozwoli. Chodzi o prałata Bulsaniego.

– O, cholera! – pozwoliłem sobie zakląć. Prałat Bulsani był dziwkarzem, pijakiem i hazardzistą. A przy tym miał zdumiewająco mocne plecy.

Hilgferarf uśmiechnął się blado.

– To dobra reakcja, panie Madderdin. Powiedziałem to samo, kiedy dowiedziałem się, czym jestem wierzycielem.

– Kiedy dowiedział się pan...? To znaczy...?

– Bulsani dostał spadek i przyjął go, bo aktywa nieznacznie przekraczały pasywa. Ale pasywami były weksle. Na cztery i pół tysiąca dukatów. Płatne do przedwczoraj. Jak pan rozumie, płatne w moim biurze. Tymczasem Bulsani sprzedał dom i kilka zobowiązań, ale nie zamierza płacić długów. Wyszedł jakieś pięć tysięcy na czysto, więc ma pieniądze...

– Znając go, stan ten nie potrwa długo – mruknąłem.

– Dlatego zależy mi na szybkości. Jestem w stanie zaoferować pięć procent od sumy ściągniętego długu.

– Dwadzieścia pięć – odparłem machinalnie – plus dziesięć procent ekstra, bo chodzi o Bulsaniego. I sto pięćdziesiąt dukatów na wydatki.

– To żarty – nawet się nie zdenerwował. Z twarzy wciąż nie schodził mu miły uśmiech.

– Jeśli nie załatwi pan tego w ciągu kilku dni, straci pan pieniądze raz na zawsze – powiedziałem. – Jasne, może pan go kazać zabić. Ale po pierwsze, nie zwróci to panu forsy, a po drugie, zabicie Bulsaniego oznacza kłopoty. Może pan zwrócić się do sądu. Ale to może oznaczać jeszcze większe kłopoty.

Hilfergard stukał obsadką pióra w blat biurka i cały czas przyglądał mi się z uśmiechem.

– Wie pan, ile utargowali pańscy przyjaciele? – zapytał.

– Tak?

– Osiem procent i dziesięć dukatów zaliczki.

– Dlatego nigdy nie powinni robić interesów beze mnie – westchnąłem. – To przykre, kiedy ludzie nie potrafią się niczego nauczyć.

– Ale jednak pańskie propozycje sanie do przyjęcia – dodał.

Przyglądałem mu się przez chwilę. Cholernie wyedukował się ten były doker. Co za zasób słów!

– Nie mam siły – powiedziałem – targować się. Jestem zmęczony i mam przed sobą ciężką pracę. Ostatnie czego pragnę, to wplątać się w kłopoty przez długi Bulsaniego. Moja propozycja, to dwadzieścia pięć procent od sumy i sto trzydzieści bezzwrotnej zaliczki. – Kupiec chciał coś wtrącić, ale uniosłem dłoń: – To naprawdę ostatnia propozycja.

Hilgferarf pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Niech i tak będzie. Słyszałem o panu dużo dobrego, panie Madderdin. Nie jest pan tani, ale słynie z rzetelnego podejścia do pracy. Mam nadzieję, że odzyskam moje pieniądze.

– Szczerze? – skrzywiłem się. – Sądzę, że straci pan jeszcze te sto trzydzieści na zaliczkę dla mnie.

– Szczerość godna podziwu – powiedział bez najmniejszej ironii w głosie – jednak zaryzykuję. Być może – dodał ostrożnie – potem, jeżeli wszystko się powiedzie, miałbym dla pana coś poważniejszego. Coś dużo poważniejszego.

– Skąd to zaufanie?

– Ja znam się na ludziach, panie Madderdin. A pan jest uczciwym człowiekiem. Co nie znaczy moralnym – zastrzegł się od razu – ale uczciwym.

Zastanowiłem się przez chwilę. To prawda. Rzeczywiście byłem uczciwym człowiekiem. Przynajmniej jak na to miejsce i te czasy. Hilgferarf wiedział, że spróbuję znaleźć Bulsaniego i odzyskać dług, choć równie dobrze mogłem przecież przehulać zaliczkę u Lonny, a jemu powiedzieć, że sprawa jest beznadziejna. Ale zlecenia były wyzwaniem. Czułbym się upokorzony, gdyby taki człowiek jak Bulsani potrafił mnie przechytrzyć. Owszem, był sprytny. Instynktownym sprytem pająka, który wie, że w razie niebezpieczeństwa trzeba odpełznąć w jak najciemniejszy kąt. Gdzie masz swój najciemniejszy kąt, prałacie?, zapytałem sam siebie w myślach. Inna sprawa, iż rzecz naprawdę trzeba było szybko doprowadzić do końca. Przecież czekała mnie sprawa zlecona przez biskupa. I nadal nie miałem pojęcia, gdzie mogą być moi ludzie.

– Dziękuję za miłą rozmowę – wstałem z miejsca – i mam nadzieję, że będę mógł panu pomóc.

– Strażnik zaprowadzi pana do kasy – powiedział, tym razem nie podając mi ręki. Może uznał, że raz na dzień wystarczy.

Skinąłem głową i wyszedłem. Śmierdziało, jak to przy spichlerzach, ale dzień zrobił się jakby sympatyczniejszy. W końcu w moim wypadku sto trzydzieści dukatów to była kupa pieniędzy. Musiałem pomyśleć, gdzie mogę znaleźć prałata Bulsaniego. Mogłoby się wydawać, że miałem wiele możliwości. Mniej więcej tyle samo, co burdeli w Hez-hezronie. Ale nawet Bulsani nie był chyba tak głupi, aby z długiem na karku zabawiać się z dziewczynami. Zastanawiałem się przez moment, czy słyszałem o jakichś przyjaciółach czcigodnego prałata. Hmm... nikt nie przychodził mi do głowy. Ludzie tacy jak Bulsani nie mają prawdziwych przyjaciół. Może tylko towarzyszy od kielicha. Póki nie wyrolują ich lub nie przerzną ich córek albo żon. Kto w takim razie pił i bawił się z Bulsanim?

Wiedziałem u kogo szukać tej informacji. U niezawodnej Lonny, która wie wszystko. A przynajmniej chciałyby wiedzieć.

Grytta nawet nie zdziwił się na mój widok, tylko szeroko uśmiechnął, pokazując garnitur spróchniałych zębów. Pewnie spodziewał się następnego dukata i nie zawiódł się. Lonna natomiast była zaskoczona, ale szybko pokryła to zaskoczenie uśmiechem.

Mordimer, czyżbyś jednak potrzebował dziewczyny?

– Być może przychodzę oddać ci dług, moja droga.

– Być może?

Wzięłem dwa kieliszki ze stolika i nalałem trochę wina sobie i jej.

– Twoje zdrowie – powiedziałem. – Za bogactwo i urodę. Wypiła z lekkim uśmiechem.

– Flirtujesz ze mną, czy masz interes? Jeśli flirtujesz, to... Spojrzałem na jej mocno wydekoltowane piersi.

– A masz ochotę na flirt?

– Nie, Madderdin – roześmiała się. Dziwne, ale w tym mieście, gdzie mało kto dbał o zęby, ona miała je śnieżnobiałe, równe i mocne. – Wiesz przecież, co ja lubię.

Wiedziałem. Lonna lubiła młodych, niedoświadczonych chłopców i młode, niedoświadczone dziewczęta. Zresztą ja też nie przepadałem za dojrzałymi kobietami, więc tylko pokiwałem głową.

– Mów więc – powiedziała.

– Szukam Bulsaniego.

– Widzę, że szukasz wielu ludzi, Mordimer. – Zauważyłem, że spoważniała. – Skąd przyszło ci do głowy, że wiem, co dzieje się z naszym przyjacielem prałatem?

– Bo on był u ciebie, Lonna. Przedwczoraj, może trzy dni temu, wczoraj raczej nie, prawda?

Milczała.

– Pytał o miejsce, gdzie można się bezpiecznie zabawić. Przeczekać miesiąc, może dwa lub trzy w towarzystwie kilku miłych panienek, czy nie tak? – oczywiście blefowałem, ale Bulsani naprawdę mógł tak postąpić.

Nadal milczała.

– Lonna?

– Nie, Mordimer – odparła – mylisz się. Naprawdę. Bulsani wyjechał z miasta, a ja nie wiem gdzie. Ale...

– Ale? – zapytałem po chwili milczenia.

– Sto dukatów – powiedziała – i dowiesz się wszystkiego, co i ja wiem.

– Zwariowałaś? – roześmiałem się. – Nie dostałem aż tak dużej zaliczki.

– No to nie.

Zastanowiłem się. Lonna nie naciągałaby mnie w tak prymitywny sposób. Coś musiała wiedzieć.

– Posłuchaj, moja droga, może jakiś podział zysków?

– Nie.

I już wszystko wiedziałem. Ta szybka odpowiedź była tak zdecydowana, że Lonna musiała wiedzieć, iż zysków nie będzie. A jak nie będzie zysków, to znaczy, że szacowny prałat przepuścił całą forszę. Cztery i pół tysiąca dukatów, to jednak kupa grosiwa. Nie tak łatwo puścić ją z dziwkami, łatwo za to przegrać. Ale Bulsani grał bardzo ostrożnie i niemożliwe, by puścił w dwa dni tyle pieniędzy. Dokonał więc zakupów. A co mógł kupować u Lonny?

– Ile zamówił dziewczyn? – zapytałem. Lonna spojrzała na mnie ze strachem.

– Jesteś diabłem, Mordimer – powiedziała – ale nawet ty nie dowiesz się, gdzie je kazał dostarczyć.

– Wszystko jest kwestią motywacji – powiedziałem – ale rzeczywiście wolałbym się tego dowiedzieć od ciebie.

– Mordimer – powiedziała jakimś takim żalonym tonem – nie mieszaj się w to wszystko i nie mieszaj w to mnie.

Lonna była przestraszona. Świat najwyraźniej stawał na głowie, a mnie wcale się to nie podobało. Zwłaszcza że gdzieś zaginęli Kostuch i bliźniacy, do których mimo ich wszystkich wad byłem jednak przywiązany.

– Moja droga – zbliżyłem się do niej i objąłem, a w tym uścisku było równie dużo czułości, co siły – kiedy ja stoję po jednej stronie barykady, a ktoś inny po drugiej, to można podjąć tylko jedną, słuszną decyzję. Zgadujesz, jaką?

Próbowała się uwolnić, ale równie dobrze mogłaby siłować się z drzewem.

– Lonna, musisz mi powiedzieć.

– A jak nie? – tchnęła mi prosto w ucho. – Co ty mi możesz zrobić, Mordimer?

Puściłem ją i usiadłem w fotelu. Zacisnęła zęby i widziałem, że ostatkiem sił panuje nad sobą by nie kazać mi iść w diabły. Ale jeszcze nie skończyliśmy rozmowy i wiedziała o tym.

– Jaką bajeczkę chciałaś mi sprzedać za sto dukatów? – zapytałem.

Milczała i patrzyła takim wzrokiem, jakby chciała mnie zabić. Wielu ludzi tak już na mnie patrzyło, więc nie przejmowałem się tym. Zwłaszcza że później to zwykle ja ich musiałem zabijać.

– Gdzie je kazał dostarczyć, Lonna? Posłuchaj mnie uważnie, może nie jestem wielką fiszą w tym mieście, ale potrafię zatruć ci życie. Wierz „mi, że mogę to zrobić. Nic szczególnego, ale goście zaczną omijać twój domek szerokim łukiem. A bez gości i bez pieniędzy staniesz się nikim. Być może szepnę też słówko biskupowi. Myślisz, że kilka nalotów biskupiej straży przysporzy ci popularności?

Lonna rozmyślała nad tym, co powiedziałem, i wiedziałem, że muszę jej dać trochę czasu. Rozważała, czy ma wystarczająco silne plecy, aby zupełnie mnie zlekceważyć. Tylko, widzicie, rozsądni ludzie bardzo rzadko pozwalają sobie na lekceważenie inkwizytorów. Nigdy nie wiadomo, co się stanie, i nigdy nie wiadomo, czy pewnego wieczoru inkwizytor i jego przyjaciele w czarnych płaszczach nie zastukają do twoich drzwi. A wtedy lepiej, aby inkwizytor był ci przychylny. To zresztą rzadko kiedy pozwalało przeżyć, ale przynajmniej godnie umrzeć. Jeśli śmierć w ogóle może być godna. Tak więc ona sobie spokojnie myślała, a ja bez pośpiechu popijałem wino. W końcu zdecydowała się.

– Kupił sześć dziewczyn – powiedziała – ale to było specjalne zamówienie.

– Dziewice – nawet nie zapytałem, w zasadzie stwierdziłem.

– Skąd wiesz? – otworzyła szeroko oczy.

– Co z nimi zrobił? – nawet nie chciało mi się odpowiadać.

– Kazał załadować je na barkę-płynącą na północ – odparła po chwili. – Wiem, bo Grytta eskortował ich do portu.

– Zawołaj go – rozkazałem.

– Mordimer, ja cię proszę, nie mieszaj mnie w to wszystko – prawie jęknęła i była urocza z tą bezradnością. Oczywiście, jeśli ktoś dawałby się nabierać na tak proste sztuczki. Ale przynajmniej była na tyle przestraszona, by zacząć je stosować. A to już coś.

– Grytta zobaczył tam coś, prawda, Lonno? Coś, co ci się bardzo nie spodobało. Pozwolisz mi zgadywać, czy jednak zawołamy Gryttę?

Dolałem sobie hojnie wina, bo było naprawdę smaczne. Wystarczająco cierpkie i orzeźwiający, ale nie zostawiający na języku tego chłodnego, metalicznego posmaku, świadczącego zwykle o tym, iż nie leżakowało we właściwej beczce lub winnica była nie dość wystawiona na promienie słońca. Nie byłem bynajmniej koneserem win, ale lubiłem od czasu do czasu napić się dobrego trunku. Zwłaszcza że miałem w życiu aż nadto okazji, by pijać trunki podłe.

Lonna westchnęła, wstała i pociągnęła jedwabny sznurek wiszący koło drzwi. Po chwili do pokoju wczłapał Grytta. Jak zwykle z wyrazem oddania i skupienia na twarzy.

– Powiedz panu Madderdinowi, co Widziałeś w przystani – rozkazała zmęczonym tonem.

– Znaczy wtedy? – upewnił się Grytta, a Lonna skinęła głową.

Słuchałem nieco bezładnej opowieści Grytty i robiłem w myśli notatki. Bogobojny Bulsani kupił sześć młodych i pięknych dziewczic z Południa, po czym kazał je załadować na barkę w porcie. Małą barkę z kilkoma ludźmi załogi. Grytta nie widział twarzy tych ludzi, słyszał tylko, że do jednego z nich Bulsani zwrócił się per „ojcze”. Do kogóż to prałat mógł zwracać się z aż takim szacunkiem? Ale nie to było najdziwniejsze. Najdziwniejszy był fakt, że na szacie tego człowieka Grytta dojrzał w słabym blasku przyniesionej latarni wyhaftowanego, karmazynowego węża. Grytta nie miał pojęcia, co oznacza ten symbol. Ja miałem. Lonna również i dlatego właśnie aż tak się bała. Karmazynowym wężem pieczętował się stary i zdziwaczały kardynał Ingus Beldaria, mieszkający w ponurym dworzyszczu jakieś dwadzieścia mil od Hez-Hezronu. Kardynał słynął z zastanawiających upodobań, a jego wyczyny nawet bliscy mu dostojnicy Kościoła określali jako „godne ubolewania”. A prawda była taka, że Beldaria był zbrodniarzem i okrutnikiem. Nawet w naszych zdziwiałych czasach rzadko spotyka się kogoś aż tak zdeprawowanego. Mówiono, że brał kąpiele w krwi nieochrzczonych dzieci, w lochach zgromadził zadziwiającą kolekcję nadzwyczaj interesujących narzędzi, a kiedy łąpały go ataki migreny (co zdarzało się aż nazbyt często), jego ból kości tylko jęki torturowanych. Przy tym wszystkim kardynał był przemiłym staruszkiem, z siwą, trzęsącą się bródką i lekko wyłupiastymi, błękitnymi jak wyprany chaber oczami. Miałem zaszczyt ucałować kiedyś jego dłoń w czasie zbiorowej audiencji (wiele lat temu, kiedy przyjmował jeszcze na audiencjach) i zapamiętałem jego dobrotliwy uśmiech. Niektórzy twierdzili, że kardynała strzeże wyjątkowo potężny anioł stróż o gustach podobnych do swego podopiecznego. Ale, jak się zapewne domyślacie, nigdy nie przyszło mi nawet do głowy, aby pytać o podobne sprawy mojego Anioła Stróża. W każdym razie, jeżeli Bulsani służył kardynałowi Beldarii, to równie dobrze mogłem spokojnie wrócić do zacnego Hilgferarfa i obwieścić mu smutną nowinę, iż jego pieniądze przepadły raz na zawsze. W ten sposób miałbym czyste sumienie, zaliczkę w kieszeni i czas oraz pieniądze na szukanie tych przeklętych heretyków, czego żądał ode mnie jego ekscelencja biskup Hez-Hezronu. Podziękowałem Gryttie za relację, nie dając nawet drgnieniem powieki do zrozumienia, co z niej wywnioskowałem. Znowu zostałem sam z Lonną i znowu osuszyłem do dna kieliszek. Rzadko się upijałem, a z całą pewnością nie mogłem upić się właśnie dzisiaj. Zresztą, nie było takiej obawy, to słabe wino nawet nie mogło zakręcić mi w głowie.

– Dziękuję, Lonna – powiedziałem. – Nie pożałujesz tego.

– Już żałuję – odmruknęła. – Zawsze marzyłam o spokoju, Mordimer. O wytwornej klienteli, ładnym domu i wesołych dziewczynkach. A co mam zamiast tego? Inkwizytora, który przesłuchuje mnie we własnym domu, i prałata zamieszanego w konszachty z samym diabłem.

Przypomniałem sobie, że faktycznie kardynała Beldarię nazywano Diabłem z Gomollo, od nazwy rodowej siedziby. Zresztą nazywanie go diabłem nie miało specjalnego sensu, bo kardynał co najwyżej był złośliwym gnomem, a do diabła było mu tak daleko, jak mnie do anioła. Ale wiadomo, że pospólstwo lubi mocne efekty. Oczywiście, wcale nie oznaczało to, iż kardynał nie był

niebezpieczny. Wręcz bardzo niebezpieczny, jeśli ktoś próbowałby mu wejść w drogę. Swoją drogą, ciekawe, czemu kościół tolerował tego świątobliwego sadystę? Dlaczego miał on tak mocne plecy? Wielu dostojników za mniejsze grzeszki lądowało na klasztornej dożywocie, zwykle w solidnie zamurowanej celi i pod czujnym okiem straży. Albo po prostu podawano im wino, po którym umierali na katar kiszek.

Zresztą, wszystko to było nieważne. Nie do mnie należało ocenianie słuszności postępowania Kościoła wobec grzeszników. Ja – Mordimer Madderdin – byłem karzącą dłońią Kościoła, a nie jego mózgiem. I całe szczęście. A że przy okazji mogłem połączyć przyjemne z pożytecznym, i służąc Kościołowi służyć również samemu sobie, to było tylko dodatkowym powodem, dla którego szanowałem pracę. Nie mówiąc już o tym, że bycie inkwizytorem i byłem inkwizytorem różni się mniej więcej tak samo, jak życie różni się od śmierci.

– Dobrze, Lonna. – Wstałem z fotela, chociaż siedziało się na nim wyjątkowo wygodnie. – Dla własnego dobra trzymaj buzię na kłódkę. – Położyłem palec na jej ustach.

Próbowała szarpnąć głową w tył, ale przytrzymałem ją za włosy lewą dłońią. Stała pochylona, z odgiętą do tyłu głową i głośno posapywała. Ale nie próbowała się wyrwać. Przejechałem opuszką wskazującego palca po jej pełnych wargach.

– Będiesz grzeczną dziewczynką – powiedziałem – bo widzisz, Lonna, jeśli kiedykolwiek dowiedziałbym się, że ktoś szepnął na mieście, iż Mordimer Madderdin szuka prałata Bulsaniego, to wtedy mógłbym do ciebie wrócić, perełko – uśmiechnąłem się łagodnie – a wiesz, kogo przyprowadziłbym ze sobą? – Nie czekałem na odpowiedź, zresztą Lonna była zbyt przestraszona, żeby coś z siebie wykrztusić. – Przyprowadziłbym mojego przyjaciela Kostucha, który zwierzył mi się niegdyś, że bardzo wpadła mu w oko pewna cycata właścicielka burdelu. I bardzo chętnie by z nią pobaraszkował godzinkę lub dwie. A wierz mi, perełko, że po takim doświadczeniu nie byłabyś już tą samą dziewczynką co dawniej. Puściłem ją i pozwoliłem, żeby opadła na fotel.

– Nie musisz mi grozić, Mordimer – powiedziała cicho i widziałem, że drżą jej dłonie.

– Nie, nie muszę – zgodziłem się – i nawet wcale tego nie lubię. Ale wiem, że to bardzo ułatwia życie. Do widzenia, Lonna. Jeśli będę w mieście, wpadnę wieczorem i obrobię dla ciebie tego szulera.

Nie odezwała się już, więc wyszedłem. Grytta otworzył przede mną bramę.

– Serdecznie zapraszamy, panie Madderdin – powiedział, ale tym razem postanowiłem nie dawać mu już napiwku. Co za dużo, to niezdrowo.

Po raz drugi tego dnia czekał mnie uroczy spacer w stronę spichlerzy. Cóż, należało powiadomić Hilgferarfa, że może położyć krzyżyk na swoich pieniądzech. Szkoda, bo cztery i pół tysiąca koton to piękny majątek. Za takie pieniądze można zabić, chociaż znałem i takich, co zabijali dla pary dobrych skórzanych butów albo manierki z gorzałką. Taaak, życie w Hez-hezronie nie było cennym towarem i ci, co potrafili je długo zachować, mieli czym się chlubić. Hilgferarf nadal był w swoim biurze, ale kiedy mnie zobaczył, uniósł wysoko brwi.

– Pan Madderdin – rzekł. – Jakież nowe wieści? Opowiedziałem mu wszystko, co usłyszałem od Lonny, rzecz jasna nie ujawniając źródła informacji. Podejrzewam jednak, że nie był na tyle głupi, aby się nie domyślić. W miarę jak mówiłem, widziałem, że jego oczy ciemnieją. Cóż, zegnał się właśnie z czterema i pół tysiącem koron. To musiało boleć. Kiedy skończyłem, wyciągnął omszałą buteleczkę wina i rozlał nam do małych pucharków. Spróbowałem. Znakomity gust miał ten były doker. Powiedziałem mu to i podziękował skinieniem.

– Co pan teraz zamierza? – zapytał.

– Cóż ja mogę zamierzać? – odparłem pytaniem. – Sądzę, że na tym kończy się moje zadanie.

– Porozmawiajmy jednak – rzekł uprzejmie. – Prałat Bulsani pracuje dla Diabła z Gomollo. A obaj wiemy, że kardynał ma ogromny majątek. Czy możemy więc domniemywać, że Bulsani nie uszczuplił jeszcze swoich zapasów gotówki, a może nawet je powiększył?

Mój Boże, pomyślałem, „możemy więc domniemywać”, mówił ten były doker. Czyżby brał lekcje manier oraz wymowy? A może był szlacheckim bękartem, podrzuconym do doków przez wyrodną matkę?

– Może tak, może nie – odparłem. – Sześć dziewic z Południa mogło go kosztować koło czterech tysięcy, trzysta w tę albo w tamtą w zależności od tego, czy były naprawdę bardzo piękne, jak się targował oraz jak bardzo ich potrzebował. Ale podejrzewam, że te dziewczyny mają być prezentem dla Bel – darii, a to oznacza, że prałat wydał swoje, a nie cudze pieniądze. No, oczywiście jeśli w ogóle można powiedzieć, że kiedykolwiek te pieniądze były jego.

– Taaak – Hilgferarf zastukał knykciami w blat stołu – co ten idiota może chcieć od Diabła?

– No, tak daleko moja domyślność już nie sięga – wzruszyłem ramionami – ale sądzą też, że lepiej się tym nie interesować.

– Być może, być może... – Hilgferarf pokiwał głową w zamyśleniu, a jego zamyślenie wyjątkowo mi się nie podobało. – No, dobrze – dodał ożywionym już głosem, jakby ocknął się z jakiegoś półsnu – Madderdin, chcę, żeby pan udał się do Gomollo, sprawdził, czy jest tam Bulsani i przywłókł go do mnie. Rzecz jasna żywego.

– A stoliczka „Nakryj się” nie chce pan? – spytałem bez cienia ironii w głosie – albo kij ów-samobij ów?

– Bardzo zabawne – spojrzał na mnie ciężkim wzrokiem. Wyraźnie był nieprzyzwyczajony, aby odpowiadano mu w ten sposób. Ale za to ja byłem przyzwyczajony, że próbowano mi zlecać różne idiotyczne zadania. Ku własnemu ubolewaniu, część z nich zresztą przyjmowałem.

– Nie pomyślał pan, Madderdin, że pańscy ludzie mogą być w Gomollo? Albo przynajmniej zmierzać w tamtą stronę?

– Nie – odparłem szczerze. – Bardzo wątpię, aby odkryli to co ja.

Ale w chwili, kiedy wypowiadałem te słowa, sam zacząłem się zastanawiać. Faktem było, że Kostuch i bliźniacy zniknęli z miasta. Oczywiście, nie sprawdziłem jeszcze wszystkich możliwości, czyli w zasadzie jednej. Nie poszedłem do burgrabiego i nie zapytałem, czy właśnie ich nie przymknął za jakieś rozróby. Gdyby mieli pieniądze, siedzieliby zapewne w burdelu i to tak długo, póki nie skończyłaby im się gotówka. Ale nie mieli pieniędzy i mieli zadanie, którego wykonania się podjęli. Nie sądziłem, by postanowili wyslizgać Hilgferarfa. To nie było w ich stylu. Pies nie sra tam, gdzie je – mówiło stare przysłowie, a oni za dobrze zdawali sobie sprawę, ile można zarobić w Hez-hezronie. I jak szybko traci się tu reputację. A reputacja była wszystkim, co posiadaliśmy.

Jednak wyprawa do Gomollo w celu ratowania Kostucha i bliźniaków nie wydawała mi się szczególnie atrakcyjna. Widzicie, my nie jesteśmy przyjaciółmi, oddanymi sobie na śmierć i życie, dzielącymi się ostatnim okruczem chleba i wspominającymi przy kominku oraz grzonym piwie wzajemne przysługi. Owszem, jest nam wygodnie podejmować się razem pewnych zleceń i tworzymy zgraną drużynę. Zgraną, bo chłopcy wiedzą, kogo słuchać. Ale tym razem wzięli się za sprawy, które ich przerosły. I będą musieli za to zapłacić. Pewnie że wizja Kostucha i bliźniaków w lochach Gomollo nie budziła mojej radości, ale nie widziałem powodu, by ryzykować dla nich reputację, koncesję, a tym bardziej życie. Byłem pewien, że kardynał nie zawahałby się zabawić w swych kazamatach z inkwizytorem i uznałby to za miłą rozrywkę po znojach dnia codziennego. Z drugiej strony patrząc, wiedziałem jednak, że trudno mi będzie zebrać podobną grupę. W końcu nie wszystkich zadań mogłem podejmować się sam. Mordimer Madderdin był od myślenia, przyjmowania zleceń i targowania się o honoraria, natomiast trudno znaleźć kogoś, kto lepiej władałby szablą od Kostucha, a niesamowite zdolności bliźniaków zadziwiały nawet mojego Anioła Stróża. Poza tym znaleźliśmy się tak długo, iż czasami mogliśmy porozumiewać się bez słów. Podrapałem się więc po brodzie, gdyż stanąłem, jak to się ładnie mówi, przed dylematem. Hilgferarf najwyraźniej postanowił pomóc mi w rozwiązaniu go.

I pozostawało jeszcze jedno. Myśl, która nie dawała mi spokoju, od kiedy dowiedziałem się o dziewicach z Południa. Dokładnie pamiętałem słowa Gersarda, biskupa Hez-hezronu: „Nowa sekta, założona i prowadzona przez człowieka nazywającego siebie apostołem Szatana. Podobno to jakiś ksiądz, zajmujący się czarną magią. Słyszałem, że odprawiają rytuały z poświęcaniem dziewic czy noworodków, czy coś tam takiego”. Czyżbym więc trafił na poszukiwaną przez biskupa sektę? Diabeł z Gomollo doskonale pasował do roli heretyka, a poświęcanie dziewic byłoby jak najbardziej w jego stylu. I kiedy zastanawiałem się nad tym problemem, poczułem zimny dreszcz sunący od nasady karku aż po łądzwie. Zrobiło mi się słabo i ostatkiem sił utrzymałem się na nogach. Czulem wyraźną obecność mojego Anioła Stróża. Był tu i dawał mi znak. Dawał mi znak, że jestem na dobrej drodze. A przynajmniej miałem nadzieję, że taka właśnie jest prawda, bo niezbadane są ścieżki myślenia i postępowania Aniołów.

– Mogę zainwestować jeszcze trochę gotówki – powiedział ostrożnym tonem Hilgferarf. – Byłoby źle, gdyby dłużnicy wiedzieli, że naciągnięcie mnie na pięć tysięcy koron uchodzi płazem. W końcu tak naprawdę dla nas wszystkich najcenniejsza jest reputacja.

Faktycznie, dłużnicy są drogocennym towarem i nie należy dopuszczać, by uległ on zniszczeniu. Chyba że jest się człowiekiem w gorącej wodzie kąpanym, lub chce się dać nauczkę innym, spragnionym łatwego zysku. Znałem niegdyś pewnego lichwiarza, który swym niewypłacalnym

dłużnikom kazał obcinać palce, zaczynając od najmniejszego u lewej dłoni. Nie macie nawet pojęcia, jak bardzo obcięcie palca zwiększa u człowieka możliwości zarobkowania oraz oddawania długów.

– No, nie wiem – powiedziałem równie ostrożnym tonem, jak on – cała ta sprawa cuchnie na wiele mil. A ja od tego smrodu wolałbym się znajdować jak najdalej.

Pokiwał głową, a ja starałem się opanować zimne dreszcze, które rozszarpywały mój kręgosłup na części.

– W zasadzie ma pan rację – powiedział uprzejmie – ale, tak jak powiedziałem, jestem zdecydowany dopaść Bulsaniego. Oferuję panu trzy tysiące koron, jeśli przyniesie mi pan tu prałata w worku, albo tysiąc koron, jeśli uzna pan, że jest to niewykonalne. Ale wtedy w worku chcę mieć głowę Bulsaniego.

Niełatwo mnie zaskoczyć, ale jemu się udało. Dla kogoś, kto miałby kłopoty z zapłaceniem za następny nocleg, trzy tysiące koron było królewskim majątkiem. Swoją drogą, niewielu znałem, którzy nawet za taką sumę zechcieliby się narażać Diabłu z Gomollo. Czy Hilgferarf aż tak bardzo chciał dopaść oszusta? Czy naprawdę zależało mu tylko na reputacji? Jasne, że lepiej zapłacić trzy tysiące za odzyskanie pięciu, niż położyć kreskę na całej sumie. Ale jednak ta zawziętość była aż dziwna. Przecież w razie niepowodzenia Hilgferarf ryzykował, być może, nawet życie, jeśli kardynałowi chciałoby się wyciągać łapska tak daleko i jeśli rzeczywiście związany był jakoś z Bulsanim. Co nadal pozostawało w sferze przypuszczeń. Przynajmniej dla mnie.

– Zgoda – powiedziałem.

Hilgferarf myślał zapewne, że ta szczodra propozycja przekonała mnie do wyrażenia zgody. Ale ja wiedziałem, że nie chciwość wchodzi tu w grę. Dawno już nie miałem okazji zmierzyć się z prawdziwym przeciwnikiem, a Diabeł z Gomollo takim właśnie przeciwnikiem był. Uosabiał całe zło, cały brud naszego świata, ale jednocześnie nie można było odmówić mu sprytu. Ani potęgi. Ani bogactwa. Oto prawdziwe wyzwanie. Można kardynał, otoczony gronem sług i żołnierzy, a naprzeciwko niego samotny Mordimer Madderdin – ręka sprawiedliwości i miecz Opatrzności, sługa Aniołów. Wzruszyłbym się, gdybym potrafił się wzruszać.

– A więc dobrze, panie Madderdin – oczy Hilgferarfa pojaśniały – proszę powiedzieć, w czym mogę panu pomóc...

Zastanowiłem się. Dobrego konia kupię u Rufasa na przedmieściu, poza tym niczego nie potrzebowałem. Może tylko wiele szczęścia, ale rzadko można je kupić za pieniądze. Może tylko przychylności Anioła, ale o to trudniej niż o szczęście.

Droga z Hez-hezronu do Gomollo prowadziła przez spokojne miasteczka i wioski. Zielone pola, wzgórza porośnięte winoroślami, chałupki ze spadzistymi dachami, rzeczułki szemrzące wśród zarośli. Co za sielski widoczek! Ale nie powiem, by po brudach i smrodzie Hez-hezronu nie była to

jakaś miła odmiana. Po południu zatrzymałem się w dużej karczmie na rozstaju traktów, zaraz niedaleko brodu Ilvin. Budynek był dwupiętrowy, porządnie obmurowany, a obok stała ogromna stajnia. Właściciel musiał mieć tu niezłe dochody. Cóż, niektórzy umieją sobie dobrze radzić. Inni, jak wasz uniżony sługa, mogą jedynie marzyć o spokojnym życiu w dostatku i bezpieczeństwie, o wieczorach przy kielichu grzanego wina i cyncatej żonce pod kołderką. Roześmiałem się do własnych myśli. Z całą pewnością nie zamieniłbym się z nikim innym. Bycie inkwizytorem to ciężki chleb, ale też zaszczyt i odpowiedzialność. Niedoceniany zaszczyt i kiepsko płatna odpowiedzialność. Cóż... życie nie jest doskonałe. Nie zamierzałem ujawniać, kim jestem, ale koń i uprzęż były na tyle dobrej jakości, że oberżysta dał mi osobny pokój – maleńką klitkę bez okien, schowaną pod samym dachem. Ale lepsze to, niż tłoczyć się we wspólnej izbie, a to zdarzało się nawet hrabiom i lordom, kiedy w cenie było nie tyle łóżko, ile snopek słomy. Zszedłem do izby jadalnej, wielkiej, zadymionej i zastawionej stołami o ciężkich blatach. Oberżysta nie zaproponował mi osobnego alkierza, a ja nie zamierzałem się wyklócać. Czasem dobrze posiedzieć wśród ludzi, nawet jak są to pijani kupcy, wracający do Hez-hezronu i opowiadający, kogo udało im się oszukać i jakież to piękne dziewczęta wydupczyli w czasie podróży. Gdyby wierzyć każdemu ich słowu, to trzeba by uznać, że największą potencję na świecie mają właśnie kupcy, którym udało się opuścić rodzinne gniazdko. Wypada się tylko zastanawiać, co w międzyczasie robiły ich żony. Zamówiłem gorzkie ciemne piwo i miskę kaszy ze zrazami. Noc przespałem wspólnie ze stadem wszy i pluskwami wciąż spadającymi z sufitu. No, ale przynajmniej był tu sufit, bo lepiej, jak spadają ci na głowę pluskwy niż deszcz czy śnieg. Wstałem równo ze świtem, wiedząc, że wtedy będę mógł w miarę spokojnie przesłuchać oberżystę albo którąś z dziewczek, czy któregoś ze stajennych chłopców. Kostuch i bliźniacy nie są ludźmi, których widoku szybko się zapomina, toteż miałem nadzieję, że jeśli tu byli, to ktoś podzieli się ze mną wiadomościami na ich temat.

Oberżysta stał przy ladzie i nalewał z beczki piwo do okrągłobrzuchych dzbanów. Dziewki kuchenne już krzątały się wokół, z zewnątrz słychać było gwar i rzenie koni. Cóż, życie budziło się tu wcześniej.

– Szukam pewnych ludzi – powiedziałem i potoczyłem trójgroszaka w stronę karczmarza. Moneta zakręciła się wokół własnej osi i wpadła wprost w jego rozwartą dłoń.

– Różni tu bywają – mruknął.

– Tych nietrudno zauważyć. Bliźniacy i ogromny facet z...

– Taki przystojniaczek – wzdrygnął się. – Byli tu, i owszem. Pochlali się, zarzygali stół, rozwalili jednemu z kupców łeb kuflem i pojechali z samego rana.

– Dokąd?

– A kto ich tam wie?

Potoczyłem w jego stronę następną monetę i złapał ją tak samo zręcznie jak poprzednią. Rozejrzał się wokół, czy nikt nie słucha naszej rozmowy.

– To jest warte dukata – rzekł. – Żółciutkiego, złotego dukata z portretem miłościwie panującego –

dodał z chytrym uśmieszkiem.

Nie musiał mówić więcej. Nie miałem zamiaru marnować dukata, skoro wiedziałem już, że pojechali do Gomollo. Zresztą, gdzie indziej mogliby się udać w poszukiwaniu Bulsaniego?

– Szkoda, że nie mam zbędnego dukata – powiedziałem i oszedłem, nie słuchając, jak karczmarz próbuje obniżyć cenę.

I co miałem robić teraz, kiedy moje przypuszczenia okazały się prawdziwe? Zapukać do bram pałacu Diabła i zapytać o zagubionych przyjaciół? Czy też wdrzeć się, mordując jego straż przyboczną i wyzwalać bliźniaków oraz Kostucha z lochów? Być może, gdybym był paladynem z dawnych dni i miał zastęp rycerzy, mógłbym pokusić się o zdobycie Gomollo. Ale byłem sam, z nic nie wartą w domu kardynała koncesją inkwizytora. Jednak przeznaczenie zdecydowało za mnie. To nie ja musiałem stukać do bram pałacu Gomollo. To kardynał odnalazł mnie. Jechałem dróżką przez las, godzinę drogi od karczmy, kiedy znalazłem się na środku niewielkiej polany. I tam zobaczyłem trzech konnych. Nie musiałem się odwracać, by wiedzieć, że następni pojawili się za moimi plecami. To nie byli zwykli rabusie. Rabusie na północ od Hez-hezronu ozdabiali krzyże i szubienice, nie spotykało się ich w środku dnia na leśnym trakcie. Nie mieli dobrych koni, dobrej broni, no i nie mieli karmazynowego węża na płaszcach. Jeden z mężczyzn podjechał wolno, stępa w moją stronę.

– Inkwizytorze Madderdin – powiedział oficjalnym tonem – Jego Eminencja, kardynał Beldaria, zaprasza.

– Zaprasza – powtórzyłem bez ironii.

Za plecami miałem jeszcze trzech jeźdźców, słyszałem parskanie ich wierzchowców i czułem ostrą woń końskiego potu. Być może powinienem ich zabić lub spróbować ucieczki. Ale jeźdźców było sześciu, mieli dobre konie, a założyłbym się, że dwóch trzymało pod płaszcami kusze. Zastanawiałem się, czy nie lepiej zginąć tu i teraz, niż trafić do kardynalskich lochów. Ale człowiek ma tak dziwną cechę, że czepia się życia nawet w beznadziejnych sytuacjach. Nie chciałem jeszcze umierać i miałem nadzieję, że uda mi się uratować skórę. Czy mogłem dać radę tym sześciu żołnierzom kardynała? Być może. Na piechotę i w zamkniętym pomieszczeniu nie zawahałbym się stanąć do walki. Ale tutaj byłem bez szans. Jeśli nie dosięgłaby mnie szabla któregoś z nich, to na pewno zrobiłby to bełt z kuszy. Nie pozostawało mi nic innego, jak zrobić dobrą minę do złej gry.

– Z radością skorzystam z zaproszenia – powiedziałem. Aż do Gomollo eskortowali mnie bardzo uważnie. Dwóch po bokach, dwóch z przodu i dwóch z tyłu. Musiano im powiedzieć, że potrafię radzić sobie w trudnych sytuacjach, bo ani na chwilę nie spuszczały ze mnie oczu. Próbowałem pogawędzić z dowodzącym jeźdźcem, ale nawet nie raczył się odezwać. I słusznie. Niebezpiecznie wdawać się w dyskusje z inkwizytorem.

Pałac Gomollo stał na malowniczym wzgórzu, a jego wieże odbijały się w błękitnym lustrze

leżącego u stóp wzniesienia jeziora. Do pałacu prowadziła jedna droga, przez wysoką, kutą w żelazie bramę, zakończoną, tak jak i całe ogrodzenie, ostrymi szpikulcami. Na rozległym podjeździe stało kilka karoc i krzatali się służący w czerwonej liberii. A na schodach prowadzących do pałacu stał nie kto inny, jak szacowny prałat Bulsani. Jego puciołowata twarz rozjaśniła się uśmiechem, kiedy zobaczył mnie w eskorcie jeźdźców.

– Ach, więc pragniesz dołączyć do swych przyjaciół!

– krzyknął bardzo zadowolony z siebie Bulsani. – Jak tam się czujesz, Mordimer, biskupi piesku? Będzie ci ciepłutko, wiesz?

Zeskoczyłem z konia i podszedłem w stronę prałata. Czuję, jak za moimi plecami żołnierze, zupełnie już jawnie, wyjmują kusze spod płaszczy. Ale skoro dowiozłem całą skórę aż tutaj, to nie miałem ochoty jej narażać. Skinąłem więc tylko prałatowi uprzejmie głową.

– Nie mam nic do pana, Bulsani – powiedziałem – oprócz dwóch rzeczy. Po pierwsze, pięć tysięcy koron dla Hilgferar – fa, po drugie, niech pan każe wypuścić moich ludzi. Potem grzecznie się pożegnamy i może pan bez strachu wracać do Hez-hezronu.

– Ach, jej! – z udawanym przerażeniem krzyknął Bulsani. – Bo jak nie, to co? Każesz mnie aresztować, inkwizytorze? Błagam: nie!

Dworzanie i żołnierze słuchający tej rozmowy śmiali się w kulak.

– Dość tych żartów – twarz prałata nagle spochmurniała – wszyscy, wynocha! Zostawcie go ze mną samego.

– Madderdin, po coś ty się w to wplątał, człowieku?

– zbliżył się i zapytał wprost w moje ucho. Czuję silny zapach kadzidlanych pachnideł. Nawet niezłych, choć zbyt kobiecych jak na mój gust.

– Jestem inkwizytorem – odparłem spokojnie – i to jest moja praca.

Patrzył na mnie, nie rozumiejąc.

– Praca? – zapytał. – Jaka, u Boga Ojca, praca?

Ścigam heretyków, dostojny prałacie powiedziałem z ironią. – Na tym zwykle polega praca inkwizytora. Tajemne obrządki, sekty, poświęcanie dziewic...

– Dziewic? – nagle wybuchnął śmiechem. – Madderdin, ty idioto! To dlatego tu się pojawiłeś? Po śladach tych sześciu dziewic z Południa? Że niby one są przeznaczone na jakieś tajemne rytuały? Chłopcze, te kobiety mają umilić noce sześciu kardynałom, którzy zjadą jutro. Sześciu starym idiotom, których jest już w stanie podniecić tylko młodość, smagłe ciało i niewinność. Sześciu prykom, którzy z naszym przyjacielem Beldarią spiskują, jak pozbawić władzy biskupa Hez-hezronu. Tu nie ma żadnej herezji, Madderdin, to tylko polityka!

Słowa Bulsaniego uderzyły we mnie jak obuchem. A więc podążałem złym tropem. To nie tu była siedziba Kościoła Czarnego Przemienienia, to nie tu oddawano się herezjom, nie tu profanowano święte relikwie. Mogłem tylko napluć sobie w brodę, bo nie pozostawało mi nic innego. W takiej sytuacji nie miałem co liczyć na pomoc mojego Anioła Stróża. Być może, jeśli byłby w dobrym nastroju, wspomógłby mnie swą siłą w walce przeciw herezji. Ale nie teraz. Jeśli Mordimer zawiódł, poszukam sobie innego inkwizytora – tak zapewne myślał mój Anioł. I miał rację. Na tym świecie nie ma miejsca dla tych, którzy popełniają błędy. Cóż, mimo wszystko próbowałem. Może jednak tak naprawdę nie chciałem przyznać się nawet przed samym sobą, że do złowrogiego pałacu Gomollo przywiodła mnie troska o bliźniaków i Kostucha. A może tylko teraz, wiedząc, iż śmierć jest blisko, starałem się znaleźć szlachetne motywy swego postępowania.

Kardynał wyglądał tak, jak go zapamiętałem z audiencji. Był wątłym staruszką o miłym uśmiechu, wygolonych policzkach i siwej, koźlej bródce. Jego twarz przypominała pieczone jabłuszko o lekko spękanej skórce.

– Mordimer Madderdin – powiedział cicho. – Co za wizyta, inkwizytorze! Spotkaliśmy się – zastanowił się przez chwilę i przeczesał palcami bródkę – szesnaście lat temu na audiencji w Hez-hezronie. Miałeś chyba wtedy zaszczyt ucałować moją dłoń.

– Wasza Eminencja ma znakomitą pamięć – powiedziałem, skłoniwszy się lekko. Łańcuch, którym owinęli mi kostki, zabrzączał.

– Cóż cię sprowadza do mojego domu, Madderdin? – zapytał z figlarnym uśmiechem. – Nieodparta pokusa zwiedzenia lochów Gomollo? Przekonanie się o tym, czy wszystkie te bajędy na temat kardynała-diabła są prawdą?

– Ośmieliłem się niepokoić Waszą Eminencję z innego powodu – wyjaśniłem – i jeśli Wasza Eminencja pozwoli, to mogę go wyłuszczyć...

– Nie, Mordimer – machnął dłonią – ta rozmowa już mnie znużyła. Poświęcę ci chwilę albo dwie jutro wieczorem. Wyjaśnij mi działanie pewnych narzędzi. To może być bardzo interesujące, jeśli skazany sam będzie opisywał skutki działania narzędzi na swym ciele. – Pstryknął palcami: – Tak, tak, tak, to znakomity pomysł. – Jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

Przeszedł mnie dreszcz.

– Ośmielę się przypomnieć Waszej Eminencji, że jestem inkwizytorem biskupa Hez-hezronu i działam na podstawie legalnej koncesji wydanej przez władze Kościoła i podpisanej przez Jego Świątobliwość. Beldarią spojrział na mnie, Wyrażnie zmartwiony.

– Twoja koncesja zaginęła, Mordimer – powiedział. – Zresztą, mnie nie dotyczą takie rzeczy.

Wiedziałem, że została mi jedna, jedyna szansa ratunku. Ulotna, nieprawdopodobna, ale jednak jakaś szansa. Ten człowiek był chory, lecz przekonany o własnej sile i o tym, że przed nikim nie odpowiada. A jednak to nie była prawda. Nikt nie jest bezkarny.

– Licencja inkwizytora zostaje przyznana przez Ojca Świętego na wniosek biskupa – powiedziałem i modliłem się, żebym zdążył dokończyć zdanie, zanim każą mnie wrzucić do lochów – lecz decyzja biskupa jest emanacją woli Aniołów, a co za tym idzie, Pana Boga naszego Wszechmogącego. Nie możesz mnie skrzywdzić, kardynale Beldarią i nie sprzeciwić się w ten sposób woli Aniołów!

Kardynał spurpurowiał tak, że myślałem, iż krew tryśnie mu wszystkimi porami twarzy. Chyba nikt nigdy nie przemawiał do niego w ten sposób. Świta kardynała stała oniemiała i myślę, że zastanawiali się nad tym, jakież to sprytne sztuczki zostaną zastosowane na bezczelnym inkwizytorze.

– Sram na Anioły! – zagrzemiał Beldarią, a jego wrzask załamał się w kogucim pienu. – Do lochu z tym szubrawcem! Przygotujcie narzędzia! Zaraz! Natychmiast!

Na to właśnie liczyłem. Na nieostrożne i nieopatrzne słowa purpurata. Był stary, sklerotyczny i złamany atakami migren. Ale nawet on powinien wiedzieć i pamiętać, że nie wolno kpić z Aniołów. Powinien wiedzieć, że Aniołowie są mściwi, pamiętliwi i drażliwi. Poczulem charakterystyczne mrowienie w karku i dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa. Wszystkie lampy i świece w komnacie zgasły, jakby zdmuchnięte nagłym porywem wiatru. Ale w komnacie mimo to było jasno. Nawet jaśniej niż przedtem. Na jej środku stał mój Anioł Stróż. Potężny, biały, jaśniejący, ze skrzydłami sięgającymi powały i srebrzystym mieczem w marmurowej dłoni.

Wszyscy obecni padli na twarze. Tylko Beldarią stał, teraz blady jak kreda, i poruszał ustami niczym świeżo wyrzucona na brzeg ryba.

– Mo... mo... mo... mo... – wybełkotał.

Mój Anioł Stróż przyglądał mu się z ponurym uśmiechem.

– Kardynale z Gomollo – powiedział – nadszedł czas zapłaty.

Machnął lewą dłonią w powietrzu, a wtedy nagle tuż obok niego pojawili się Kostuch oraz bliźniacy. Oszołomieni i mrugający nie przyzwyczajonymi do światła oczami. Kostuch miał zakrwawioną bluzę, a jednemu z bliźniaków przez policzek biegła paskudna rana. Na moich nogach pękły ognia łańcuchów.

– Czynię ciebie, Mordimer, i twoich przyjaciół, pełnomocnikami Inkwizycji w pałacu Gomollo i przyległych włościach. Niech tak się stanie w imieniu Aniołów! – Ostrzem miecza stuknął w podłogę, aż sypnęły się różnobarwne skry.

– Zawiadomię inne Anioły.– dodał już cichszym głosem. – Spodziewaj się jutro inkwizytorów z Hezhezronu.

Świece i lampy zapłonęły pełnym blaskiem, a Anioła nie było już wśród nas. Tylko wypalone ślady jego stóp pozostały na drogocennym dywanie kardynała. Kostuch wrzasnął jak zarzynany, w jego dłoni pojawiła się długa, zakrzywiona szabla. Podbiegł do najbliższego z dworzan kardynała i przyszpilił go ostrzem do podłogi.

– Kostuch! – ryknąłem – chodź tu, Kostuch!

Przez chwilę patrzył na mnie, nie rozumiejąc, ale w końcu jego twarz rozjaśniła się uśmiechem. Uśmiechnięty wyglądał jeszcze paskudniej niż zwykle.

– Mordimer – powiedział z uczuciem – przyszedłeś po nas, Mordimer.

Podszedł i objął mnie. Odsunąłem się, bo śmierdział jak nieboskie stworzenie. Warunki w lochach kardynała nie sprzyjały higienie, a zresztą i tak mycie się nie należało do ulubionych zajęć Kostucha. Przebity dworzanin leżał na podłodze i rzeził. Wyrzygiwał z ust krwawą pianę. Patrzyłem na niego przez chwilę obojętnym wzrokiem. Reszta dworzan powoli wstawiała, zaczęły się jakieś szepty.

– Wszyscy pod ścianę – powiedziałem głośno. Podszedłem do kardynała Beldarii i spojrzałem mu prosto w oczy.

– Wszyscy pod ścianę – powtórzyłem.

Beldaria szarpnął się, jakby chciał mnie chwycić za kaftan. Lewą ręką przytrzymałem mu dłoń, a prawą zacząłem bić go po twarzy. Wolno, otwartą dłonią. Poczulem pod palcami krew i ostre okruszki zębów. Jego nos chrupnął i ustąpił pod uderzeniem. Kiedy puściłem, starzec padł na ziemię jak pokrwawiony łachman.

– Zabierzcie to ścierwo – rozkazałem służącym.

Prałat Bułsani, drżąc, stał pod ścianą. Tak blisko, jakby chciał stać się częścią pokrywającego ją kobierca.

– Straciłeś ochotę na dowcipkowanie, ojczy? – zapytałem.

– Szkoda, bo liczyłem na jakieś finezyjne żarciki i wymyślne aluzje. Nie powiesz czegoś, by mnie rozweselić?

Patrzył na mnie ze strachem i nienawiścią. Wiedział, że dla niego już wszystko się skończyło. Noce spędzane na kartach, popijaniu wina i obłapywaniu dziwek. Jego życie warte było teraz tyle, co splunięcie na gorący piasek. Uśmiechnąłem się i podszedłem do bliźniaków. Uścisnęli mi dłoń z wzruszającym oddaniem. Było nas czterech w pałacu kardynała. A żołnierzy i dworzan może z pięćdziesięciu. W samej tej dużej komnacie kilkunastu. A jednak nikomu nawet nie przyszłoby do głowy przeciwstawić się nam. Każdy z tych ludzi miał złudną nadzieję ocalenia życia, każdy błagał już w myślach tylko o to, aby nie wylądować w piwnicach inkwizytorów. A wierzcie mi, że wszyscy, którzy przeżyją, znajdą się tam nad wyraz prędko. Zaś to, czy ich życie zakończy się w moczu, kale, krwi i przeraźliwym bólu, będzie zależeć tylko od nich samych i ich chęci odkupienia grzechów. Jeśli będą wystarczająco pokorni, może umrą ścięci, jeśli nie, to zostaną upieczeni na wolnym ogniu, na oczach wyjącej z uciechy gawiedzi, otoczeni smrodem własnego palonego tłuszczu.

Wyszedłem na korytarz. W ciemnej wnęce stał mój Anioł. Teraz jako niepozorny człowieczek w ciemnym płaszczu. Ale to był mój Anioł. Nigdy nie pomylisz się, kiedy ujrzysz swego Anioła Stróża, jakkolwiek przybrałby postać.

– Jestem z ciebie zadowolony, Mordimer – powiedział. – Zrobiłeś, co do ciebie należało.

– Na chwałę Pana – odrzekłem, bo co innego mogłem powiedzieć.

– Tak, na chwałę Pana – powtórzył z jakąś dziwną i zaskakującą goryczą w głosie. – Czy wiesz, Mordimer, że w oczach Boga jesteśmy wszyscy winni... – Spojrzałem w jego źrenice, a one były jak jeziora wypełnione ciemnością. Wzdrygnąłem się i odwróciłem wzrok. – ...a pytaniem jest tylko wymiar i czas kary. Kary, która nieuchronnie nadejdzie.

– Dlaczego więc myślimy o tym, by Mu się przypodobać?

– ośmieliłem się zadać pytanie.

– A czy dziecko na plaży nie buduje murów z piasku, które mają powstrzymać przyływ? I czy, kiedy jego budowle znikną już pod falami, na drugi dzień nie stara się zbudować murów jeszcze potężniejszych, chociaż w głębi duszy dobrze wie, że nic to nie da? – Położył dłoń na moim ramieniu, a ja poczułem, że uginam się pod jej ciężarem.

– Ty, Mordimer, wypełnisz wszystko, co ma się wypełnić – powiedział. – Jutro przybędą tu spiskujący kardynałowie i jutro pojawią się inkwizytorzy.

– A więc nie ma Kościoła Czarnego Przemienienia?

– Któż wie, co oznacza słowo, jest”? – zapytał Anioł – i którego z bytów dotyczy? – zawiesił głos. – Świat jest pełen tajemnic, Mordimer – ciągnął dalej łagodnym tonem. – Czy wiesz, że istnieją takie elementy materii, których istnienie tylko przeczuwamy, gdyż obserwacja powoduje ich zniszczenie? Kto może więc odpowiedzieć na pytanie, czy one są i dla kogo są?

Czekałem, myśląc, że powie coś jeszcze, ale Anioł wyraźnie już skończył. I tak dziwiłem się, że raczył pozostawać ze mną tak długo.

– Co mam więc robić, mój panie? – zapytałem, choć lękałem się, aby nie rozsierdziła go moja niedomyślność.

– Mordimer, to co masz zrobić, sam wiesz najlepiej – odparł i uśmiechnął się.

Tym razem nie próbowałem nawet zobaczyć jego oczu, bo nie chciałem, aby otchłań, która w nich była, spojrzała we mnie.

Epilog Ta historia zaczęła się w Hez-hezronie i tam właśnie musiała się zakończyć. Do domu Lonny weszliśmy wczesnym rankiem. Ja, Kostuch, bliźniacy i trzech inkwizytorów w ciemnych płaszczach. Kiedy nas zobaczyła, krew odbiegła jej z twarzy.

– Mordimer – powiedziała głuchym głosem.

– Mordimer Madderdin w imieniu Inkwizycji – rzekłem.

– Twój dom, córko, zostanie poddany inspekcji.

– Ja nic nie zrobiłam – powiedziała z rozpaczą w głosie. – Wiesz o tym, Mordimer!

Przynależność do Kościoła Czarnego Przemienienia, obmierzłej sekty heretyków, to, twoim zdaniem, nic? – zapytałem. – A skupowanie dziewic w celu poddawania ich świętokradczym obrządkom? Nie mówiąc już o sprofanowanych relikwiach i heretyckich amuletach, które znajdziemy w twoim domu.

– Powiedziałeś, że jeśli stoisz po jednej stronie barykady, a ktoś inny po drugiej, to można podjąć tylko jedną, słuszną decyzję. I ja stanęłam po twojej stronie, Mordimer. Pomogłam ci!

– Nic ci nie obiecywałem, Lonna. – Wzruszyłem ramionami: – Takie jest życie. Poza tym wydałaś mnie, perełko, ludziom kardynała. Łatwo było sądzić, że uprzykrzony Madderdin nigdy nie opuści już Gomollo, prawda?

Patrzyła na mnie i milczała. Bardzo dobrze, bo nie było nic do powiedzenia.

Kostuch zbliżył się do mnie i widziałem jego wygłodniałe oczy.

– Mogę, Mordimer? – zapytał pokornie.

Możesz, Kostuch, ale ona ma przeżyć – odparłem. Był jak wdzięczny psiak, kiedy porywał ją i bezwolną, zrozpaczoną, oniemiałą, prowadził na górę, do komnat. Potem słyszeliśmy przez dłuższy czas jej krzyk, ale później ten krzyk umilkł. Tak nagle, jakby krzyczącemu ktoś wsadził pięść w gardło. Po godzinie, kiedy Lonnę zabierali inkwizytorzy, miała zakrwawione uda, porwaną suknię i pustkę w oczach.

Jeszcze przed południem otoczyliśmy dom Hilgferarfa. Przyjął mnie zimno, spokojnie, i tak jak ja wiedział, że jest już martwy.

– Nie trzeba było mnie oszukiwać, panie Hilgferarf – powiedziałem. – Dziewice z Południa miały być wspólnym prezentem pana i Bulsaniego dla Diabła z Gomollo i jego gości, prawda? Pan dawał gotówkę, a prałat dojdzie do kardynała. Ale Bulsani postanowił pana przechytrzyć, czyż nie tak?, i wręczyć prezent tylko we własnym imieniu. Wynajął mnie pan, doskonale wiedząc, gdzie jest Bulsani. Co to miało być? Próba?

– Nie. Nie wiedziałem, że Bulsani kupił dziewczyny, dopóki mi pan o tym nie powiedział. Przypuszczałem tylko, że mógł to zrobić.

– Tak, tak, wysoko grał ten nasz prałat. Tak jak i pan – dodałem serdecznie.

– To prawda – rzekł Hilgferarf. – O co jestem oskarżony?

– O herezję, łamanie zasad świętej wiary, spisek, profanację relikwii, rytualne morderstwa,

przynależność do sekt nie usankcjonowanych przez Kościół – powiedziałem obojętnym tonem – i co pan jeszcze tylko chce.

– Dlaczego mi pan to robi, Madderdin?

Aby układanka pasowała – rzekłem. Kardynałowie i ładacznicą, poważany kupiec i słynący z frywolnego życia prałat. Wszyscy są heretykami, a to oznacza, że herezja może być wszędzie. Tu i tam. W domu twojego sąsiada i w kościele twojego proboszcza. Może nawet w głowie twojej żony. Trzeba było zajmować się handlem, panie Hilgferarf, a nie mieszać do polityki. I niech pan pomyśli, kto był pańskim wspólnikiem, bo takie pytania pan na pewno usłyszysz. A wtedy trzeba będzie odpowiadać szybko i logicznie, jeśli nie chce pan cierpieć ponad miarę.

– Mam przyjaciół – powiedział blady, nie wierząc we własne słowa.

Skinąłem mu głową i przywołałem inkwizytorów. Wszedłem, kiedy zakładali mu kajdany. Był martwy, a ludzie martwi nie mają przyjaciół.

Być może spytacie, co czuję, pozostawiając za sobą trupy? Co czuję, wiedząc, że sześciu kardynałów, Lonna, Hilgferarf, dworzanie i żołnierze kardynała z Gomollo są martwi? Niektórzy zresztą jeszcze żyją. Ich serca biją ze strachu, ich gardła wydają okrzyki bólu, ich płuca duszą się w chrapliwym oddechu, ich mózgi starają się wymyślić historie, które zaspokoją ciekawość spokojnych ludzi w ciemnych płaszczach. Schodzę czasami tam, na dół. Do mrocznych piwnic, których ściany tętnią bólem i strachem. Widziałem Lonnę, widziałem Hilgferarfa i widziałem kardynałów. Pozbawieni godności i purpury wili się u stóp inkwizytorów, oskarżając samych siebie i swych towarzyszy. Nie odczuwam radości, ale nie odczuwam też smutku. Ci ludzie już teraz wierzą, że byli heretykami, spiskującymi przeciw Kościołowi i świętym zasadom naszej religii. A jeśli uwierzyli we własną zdradę, to znaczy, że ta zdrada była zawsze w głębi ich serc. Jedyne, czego mi żal, to sześciu dziewczyc z Południa. Kazałem zabić je dworzanom biskupa, a ich ciała ułożyć w wyrysowanych czarną kredą kręgach, potem podciąć żyły i krew zlać do szklanych retort. Kazałem na ich piersiach i brzuchach wypisać tajemne symbole, a między nogi włożyć odwrócone krzyże. Wiedziałem, że ten widok wystarczy, by inkwizytorzy z Hez-hezronu poczuli się jak gończe psy na tropie. Wiedziałem też, że będzie to powód do aresztowania sześciu kardynałów-spiskowców, zwłaszcza iż do Hez-hezronu dotarły wieści o spisku knutym przy okazji heretyckich praktyk. Tak więc czuję trochę żalu. Pociesza mnie tylko jedno: wszyscy jesteśmy winni w oczach Boga, a pytaniem jest jedynie czas i wymiar kary. Tak powiedział mój Anioł, a ja nie znajduję powodów, by nie wierzyć jego słowom. I wierzę, że mój czas nieprędko nadejdzie, a kara nie będzie surowa nad miarę.

Jacek Piekara l-sciencE:FiCT>ón 2001/10

■ ■ – tafcie J ui m * h m-Jś@